



Jakie dziedziny matematyki pasjonują pana najbardziej?

Ja zajmuję się topologią i zastosowaniami topologii w analizie.

A jakie dziedziny matematyki i przez kogo były rozwijane w chwili pana przyjazdu do Trójmiasta?

Jak w '62 przyjechałem do Gdańska to tutaj już był Ryszard Bittner, który zajmował się abstrakcyjnym rachunkiem operatorów. I był też Lech Dubikajtis, dojeżdżał z Torunia, zajmował się geometrią klasyczną.

A skąd pan przyjechał do Gdańska?

Z Torunia.

Tam też pan był wykładowcą?

Nie. Ja kończyłem uniwersytet poznański w '55. Wtedy były nakazy pracy, dwa lata byłem w Szczecinie. Tam była Wyższa Szkoła Inżynierska, przekształcona później w Politechnikę. I po tych dwóch latach przenieśliśmy się do Torunia, tam byłem asystentem. Może pod koniec byłem już adiunktem, nie pamiętam. W każdym razie tam zrobiłem doktorat i po tym doktoracie przenieśliśmy się do Gdańska.

A pamięta pan jeszcze nazwiska innych wykładowców, którzy tu w Gdańsku rozwijali matematykę?

To była Wyższa Szkoła Pedagogiczna. Większość zajęć prowadzili wykładowcy, którzy nie pracowali naukowo. Na Politechnice był profesor Pawelski, on się zajmował równaniami różniczkowymi. I on miał jakieś zajęcia w Wyższej Szkole Pedagogicznej.

A w momencie przekształcania się WSP w Uniwersytet Gdański napływali tutaj inni dydaktycy?

Tak, jeszcze zanim powstał Uniwersytet, ja niestety nie pamiętam kolejności, w jakiej to się wszystko odbywało. Dla mnie najważniejszą postacią był Andrzej Granas, którego poznałem jeszcze w Toruniu. Starszy ode mnie o cztery lata. I on pod koniec tego okresu WSP tutaj był. Tutaj został mianowany profesorem. Z Poznania przeniósł się Zbigniew Ciesielski. Nie pamiętam czy on pracował od razu w WSP. Jego pierwszym miejscem pracy był Instytut Akademii PAN. Ja zresztą też miałam rozmaite związki z PANem. Był jeszcze, nie żyjący już, Andrzej Jankowski. Kiedy przeprowadził się na Wybrzeże, to ja nie pamiętam. Pewnie mniej więcej jeszcze w tym roku jak powstawał Uniwersytet. Z Jankowskim mieliśmy wspólne seminaria, zresztą w kontakcie z matematykami warszawskimi, szczególnie z Bogdanem Bojarskim z Instytutu Matematycznego PAN. Myśmy przez całe lata mieli wspólne seminaria, jeździliśmy do Warszawy, oni przyjeżdżali tutaj. W Gdańsku odbywały się Letnie Szkoły, poświęcone topologii algebraicznej i jej zastosowaniom w analizie. Niestety, Granas wyjechał za granicę dość szybko, zanim Uniwersytet powstał.

Jest pan dydaktykiem. Ma pan takich swoich szczególnie zapamiętanych studentów, którzy się czymś wyróżnili w czasie pana kariery dydaktycznej?

No tak, tak oczywiście. Jak przenieśliśmy się do Gdańska to na trzecim (chyba) roku był Lech Górniewicz, obecnie profesor UMK w Toruniu, a na pierwszym roku Zygfryd Kucharski (w tej chwili na emeryturze). Michał Sadowski studia zaczynał jeszcze na WSP ale kończył na Uniwersytecie. Później studiowali na Uniwersytecie dwaj obecni profesorowie: Marek Izydorek (obecnie Politechnika Gdańska) i Sławomir Rybicki (obecnie UMK w Toruniu).

A co pan lubił najbardziej w pracy dydaktyka?

Praca na uczelni polega na tym, że trzeba wyklądać. Na pewno przykrą stroną pracy dydaktyka są egzaminy. Jest zawsze takie rozczarowanie. Nigdy tak nie myślę, że student powinien wszystko wiedzieć co było na wykładzie, ale chciałoby się żeby trochę wiedział. Niezależnie od doświadczenia to chyba człowiek zawsze jest rozczarowany. Ale ja nie mogę powiedzieć, że nie lubiłem wyklądać. W każdym razie zawsze zależało mi na tym, żeby mieć kontakt z żywymi ludźmi. Nawet gdy pracowałem w instytucie akademii, gdzie nie było obowiązku zajęć dydaktycznych, to ja i tak brałem jeden wykład na Uniwersytecie, żeby mieć trochę kontaktu z ludźmi. W tym sensie można powiedzieć, że ja lubiłem wyklądać. Człowiek bierze wykład, bo chce wyklądać, ale potem jak przychodzi ten dzień, że trzeba iść na wykład, to z tym jest różnie.

A skąd u Pana się wzięła taka miłość do matematyki? Dlaczego akurat matematyka a nie np. chemia?

Wie pani, może powiem w jaki sposób zostałem matematykiem. Maturę zdawałem w '51 roku. To był najgorszy okres polityczny w Polsce. Mój ojciec miał jakieś kłopoty. No i w każdym razie jak ja miałem zdawać maturę, to kilka miesięcy przed maturą już się składało podania na wyższe studia. Myśmy wtedy mieszkali w Gorzowie Wielkopolskim i ja chciałem iść do Szczecina na Wyższą Szkołę Inżynierską, na wydział elektryczny. Wtedy wszyscy uczniowie należeli do ZMP. Tam byli bardziej i mniej zaangażowani. I taki działacz ZMPowski wziął mnie na bok i mówi: „Słuchaj, ty się nie dostaniesz. Mowy nie ma.” A wtedy sytuacja wyglądała tak, że jak ktoś się nie dostał na studia to od razu wędrował do wojska. Wtedy była wojna w Korei. Ale uczelnie szukały kandydatów na tak zwane studia nauczycielskie, przyjechał ktoś z Uniwersytetu Poznańskiego i namawiał na te studia. Ja do dzisiaj nie wiem czy ten kolega, to był kolega z równoległej klasy, czy on z dobrego serca chciał mi pomóc, czy mnie chciał zastraszyć. Bo nie wykluczam, że jak bym złożył podanie do Szczecina to może bym się dostał. W każdym razie ja z tego zrozumiałem, że mam większe szanse dostać się na fizykę albo matematykę. Tak napisałem, fizyka albo matematyka. Ale w Poznaniu mieli więcej kandydatów na fizykę, wobec tego wylądowałem na matematyce. I w ten sposób zostałem matematykiem. Ja nie miałem kłopotów z matematyką, dość dobrze ją rozumiałem. Czasy były takie, że nie zawsze można było zrobić co się chciało.

Skończyłem Uniwersytet w '55 roku. Wtedy były nakazy pracy. Dostałem nakaz pracy właśnie do Szczecina. Tam była Wyższa Szkoła Inżynierska. I tam pracowałem dwa lata, a po dwóch latach, nawet nie pamiętam czy ten nakaz był na dwa lata czy na trzy, ale były duże zmiany w Polsce po '56 roku. Te nakazy przestały obowiązywać i przeniosłem się do Torunia. Zostałem asystentem i w Toruniu spotkałem Andrzeja Granasa.

A czy jest jeszcze coś takiego w historii matematyki trójmiejskiej co Pan by chciał powiedzieć? O co nie zapytałam, a co Pan uważa za szczególnie ważne, że się wydarzyło?

Jesli chodzi o matematykę, no to była taka mozolna praca codzienna. Jakiś sensacyjnych odkryć tutaj nie było. Ja byłem przez pewien czas dyrektorem instytutu, jak już Uniwersytet powstał. Co ciekawe, i nie było wtedy częste, nie byłem członkiem partii. Wtedy na ogół dyrektorzy dziekani byli członkami partii. Jak Uniwersytet powstawał to bardzo ważną rolę odgrywali dwaj chemicy: Janusz Sokołowski, który był pierwszym rektorem Uniwersytetu i Gotfryd Kupryszewski, który był pierwszym dziekanem Wydziału Matematyki, Fizyki i Chemii. I oni tak jakoś dbali o ten wydział, a ja pod ich skrzydłami zostałem dyrektorem instytutu. Po paru tygodniach jak byłem tym dyrektorem przyszedł do mnie bardzo grzeczny człowiek. Przedstawił się, że jest pracownikiem UB, "opiekunem" Uniwersytetu. No i zaczął ze mną rozmawiać, nie mogę powiedzieć, że dla mnie był to szok, ale nie spodziewałem się, że będę musiał jakieś tego typu kontakty utrzymywać. Ale było dla mnie oczywiste, że nie mogę odmówić. Teraz widzę, że to było chyba zabawne. Miałem wrażenie, że ten człowiek, po prostu musi odbyć takie rozmowy. Przychodził do mnie, sekretarka robiła kawę. Wydawało mi się, że on musiał odsiedzieć ileś tam czasu. Ja niewiele chciałem mu powiedzieć, prowadziliśmy idiotyczne, grzeczne rozmówki. Bardzo to było dziwne. Ale on się przydał w pewnym momencie. Jakiś amerykański matematyk przyjechał i miał wizę tylko na tydzień, a chciał jeszcze parę dni zostać w Gdańsku. Ten nasz opiekun akurat przyszedł, ja mu powiedziałem o tym, a on się ucieszył, że może coś załatwić. Wziął jednego z kolegów, gdzieś tam pojechali (na Piwną ?) i w ciągu paru godzin przedłużenie było załatwione. Były jednak poważniejsze, bardzo nieprzyjemne sprawy. Na przykład została zwolniona z pracy asystentka za udział w kółku rozańcowym - oczywiście oficjalne uzasadnienie tego zwolnienia było zupełnie inne.

Jestem przekonany, że matematyka w Gdańsku wiele zawdzięcza Januszowi Sokołowskiemu i Gotfrydowi Kupryszewskiemu. Sokołowski był wybitną indywidualnością - był członkiem partii,

rektorem i tak jakoś lawirował. To był człowiek wychowany jeszcze przed wojną, to znaczy zdawał chyba w czasie wojny. To się wyczuwało, że on chce coś pożytecznego zrobić.